Rok 1901. Lwów, 9. Czerwca Nr. 22.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów ⁘ Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą ❁ oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 9. czerwca. Nr. 22.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 22:

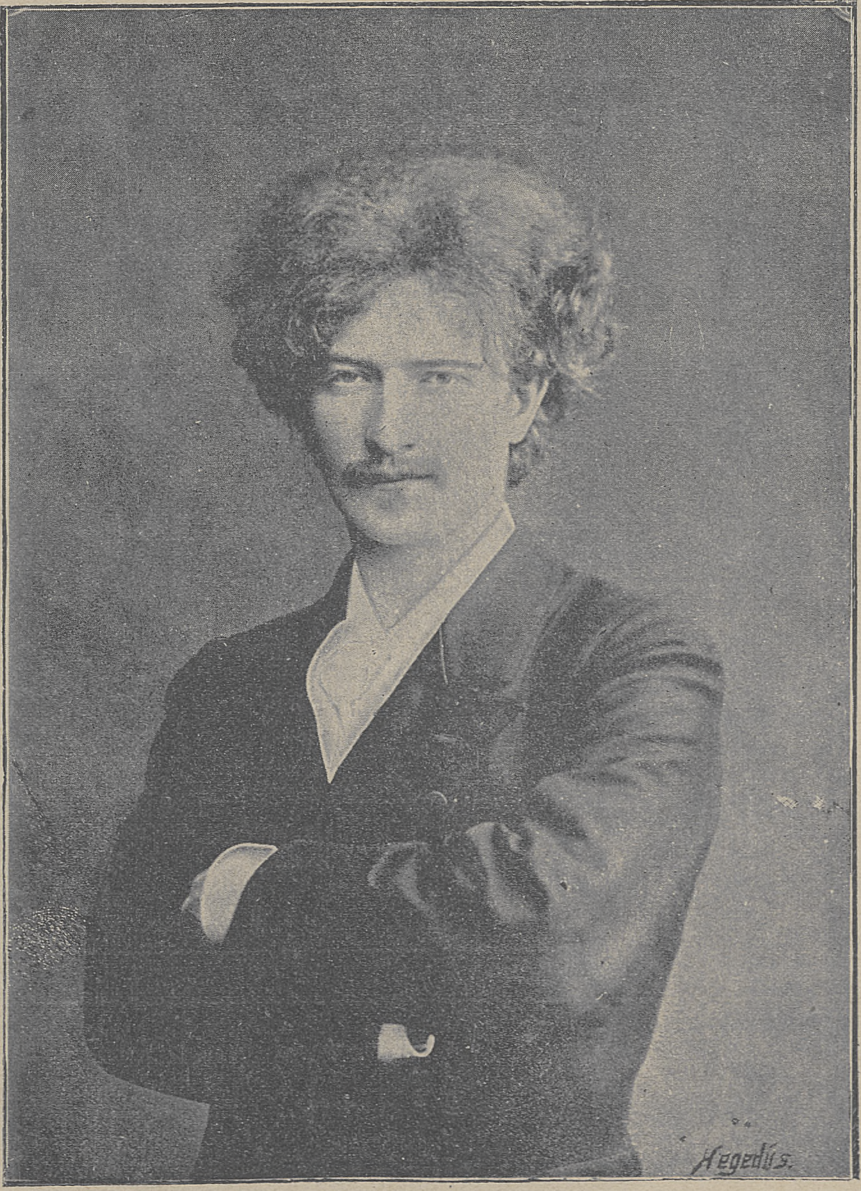
„MANRU“.

Objaw dla jednych zabawny, dla wielu niezrozumiały: od dwóch tygodni na ustach całej inteligentnej ludności Lwowa jeden wyraz: „Manru“. Po domach prywatnych rozmowa tylko o Paderewskim; w publicznych lokalach słyszysz tylko o nowej jego operze; dzienniki przepełnione szczegółami o „Manru“ i kompozytorze; wejdziesz do lokalu stowarzyszeń, instytucyj finansowych, do magistratu, do Wydziału krajowego — wszystko zainteresowane przedewszystkiem przygotowaniami do tej premiery...

Cóż u licha? Czy cała ludność stolicy jest tak namiętnie muzykalną, że jedno dzieło muzyczne owładnęło wszystkiemi umysłami i wszelkie inne sprawy publiczne zepchnęło na plan drugi?

Nie. Ale jest to objaw psychiczny, tkwiący po części może w naturze naszego narodu, skłonnego do uniesień, ale przedewszystkiem w stosunkach naszych narodowo-politycznych. I z tego stanowiska rzecz sądząc, nie można jej uważać ani za bardzo śmieszną, ani też za zasługującą na potępienie.

Sposób, w jaki ktoś pracuje dla dobra swego społeczeństwa, zawód, który uprawia człowiek, pragnący zasłużyć się narodowi — nie stanowi o doniosłości zasługi. Natomiast polega ona na tem, o ile tym środkiem, tym zawodem cel publiczny został osiągniętym. Po szeregu lat, po okresach czasu, znakomity wódz wojskowy, lub mąż nauki, albo artysta, literat, prawodawca zatracają w naszej wyobraźni cechy zawodowe, jakie ich wyróżniały, a pozostaje jedynie pamięć wyników ich działalności, pamięć wielkości zasługi, jaką położyli. Jak bowiem mawiano, iż wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, tak powiedzieć można, że każdy zawód może i powinien u nas prowadzić do odrodzenia Ojczyzny.



IGNACY PADEREWSKI.

Umieliśmy kochać i wielbić wielkich naszych mężów w narodzie, którzy na tem, lub innem polu działalności kładli podwaliny pod odbudowę Ojczyzny, którzy, bądź nas krzepili na duchu i podnosili ku wyżynom kultury i ideału, bądź imię polskie nieśli wysoko przed oczyma obcych ludów i przypominali jego prawa niezadawnione. Toż nie za co innego, jeno za taką pracę uczciliśmy niedawno w murach tego miasta znakomitego autora „Trylogii“ i „Quo vadis“ i te same motywy rozgrzały nasze serca na wiadomość, iż w dziedzinie muzyki pojawił się człowiek, który sławę polskiego imienia utwierdza wśród ludów, co po utracie naszego bytu politycznego radeby uważać nas za umarłych.

Azatem nie sam jeno zapał muzyczny, nie kosmopolityczne umiłowanie sztuki „dla sztuki“, — ale ten głębszy motyw, jaki tutaj naprowadziliśmy, powoduje ów gorączkowy nastrój, oną radość

powszechną, jaka się objawia z okazyi niepospolitego wypadku w dziejach muzyki polskiej.

Taki zapał grzeje serca i napełnia je otuchą; taki objaw budzi wiarę, że nie zginęliśmy jeszcze i nie zginiemy, jak długo w każdej dziedzinie pracy kulturnej kroczymy wespół z innemi narody.

Paderewski — to jeszcze jedna pochodnia w pielgrzymce naszej ku lepszej przyszłości; toż witać ją, a radować się, a czcić i miłować!

Ferdynad Saar.

DOKTOR TROJAN.

(Przeł. z niem. Józefa P.)

Wszystko, co doktor Trojan przytoczył na chwałę okolicy, sprawdziło się zupełnie i wkrótce poznałem ją w jej urozmaiconej piękności, przerzynając ją czy konno, czy też powozem, czy to na samotnej przechadzce we wszystkich kierunkach. Tylko na „Horzicu" jeszcze nie byłem, pomimo, że tę wyżynę i jej strome gęsto zalesione stoki ciągle miałem przed oczyma; gdyż znajdowała się ona wprost naprzeciw zamku w oddaleniu pół godziny drogi. Jednego poranka jednak, gdym się nie czuł do pracy usposobiony, postanowiłem wyjść na tę górę, by użyć widoku, jaki się stamtąd musiał niespodzianie przedstawić.

Było to w lipcu, a dzień zapowiadał się nader gorący. Już przed ósmą, gdy kroczyłem suchą trawą miedz przez pola, siało słońce żar dokuczliwy na mą głowę. Wreszcie osiągnąłem brzeg lasu — a z nim cień, chłód. Lecz teraz dopiero rozpoczęło się wchodzenie na górę po wąskiej ścieżce, które stawało się czem raz uciążliwsze, tak, że nakoniec musiałem wdrapywać się i żałowałem już, że nie skierowałem się na drogę, prowadzącą dalekim łukiem w górę.

Ale już się ukazał błękit nieba między sosnami — i wkrótce stanąłem, jeszcze raz silniej się wznosząc, owiany cudownem powietrzem przed lekko falującem morzem kłosów, żniwa czekającem. Rozciągało się daleko, przerwane wydłużoną wioską, ze swemi strzechami jakby w zapomnieniu leżącą. I teraz odkryłem dwór z boku leżący, którego dzierżawca, jak mi powiedziano, trzymał małą gospodę.

Tamtędy więc poszedłem, aby spożyć przedewszystkiem śniadanie. Tuż przy murze strzelił wysoki szerokokoronny buk a w cieniu stał stół z dwiema ławkami. Jakiś mężczyzna i mały chłopiec siedzieli na nich. Gdy się zbliżyłem, wstał ów człowiek, a ja poznałem w nim Trojana, idącego z odkrytą głową ku mnie, kapelusz i fajka leżały obok szklanki z piwem na stole.

— Otóż i Pan zabłądziłeś w te strony — rzekł kłaniając się, widocznie uradowany. Lecz przytem przybrała twarz jego znowu dziwnym sposobem wyraz płaczący, a to tak, że jego nos wgięty prawie zupełnie, znikł, a pozostał tylko dziób kaczy, co bardzo komicznie wyglądało.

— Długo to trwało — odpowiedziałem — zanim się wybrałem, choć mi to wzgórze szczególnie zachwalano. Droga jest zresztą dość uciążliwa.

— Za to też jest się sowicie wynagrodzonym! — odparł mi na to.

Rozłożył długie ramiona i obrócił się powoli około siebie:

— Patrz Pan, co się tu ma przed oczyma! Tam leży Berno — wskazując ręką chudą i wyschłą, jak szpon ptasi, na mglistą masę, słońcem wygrzaną na najdalszym horyzoncie. — A miasteczka i wioski ze swemi wieżycami wokoło! A wężykowate skręty, rzeki, łąki, sadzawki i obejścia! Jak na mapie sztabu jeneralnego. Tu się widzi dopiero, jak wielkim jest świat. Lecz Pan jesteś znużony i zechcesz spocząć, i nie wzgardzisz Pan zapewne miejscem za tym stołem. Jest i za domem ogródek. Lecz tutaj jest widok rozleglejszy, a i powietrze jest tak orzeźwiające... —

Przesunął ręką po wąskiem, pooranem czole, mocno w tył pochylonem, co się jeszcze pod krótkimi, już siwiejącymi włosami przedłużało.

Usiedliśmy, a ja jąłem się przypatrywać chłopcu, który swoje duże, jasne oczy badawczo na mnie zwrócił. Nie wiem, czy kiedy piękniejsze dziecię widziałem. Okrągła, pełna twarzyczka, wskazywała typ słowiański w młodzieńczej delikatności i miękkości. Szeroki nos, z lekko rozdymanemi nozdrzami, kwitnące usta były najdoskonalej utoczone; cała główka z silnie zbudowaną szyjką, opaloną, różowo przejrzystą odznaczała się od ubogiej, szarej, łatanej odzieży, w jaką chłopiec nędznie był odziany.

Trojan spostrzegł moje upodobanie.

— Nie prawdaż, prześliczny chłopiec. Można to przy nim powiedzieć, bo nie rozumie po niemiecku. Wierny wizerunek swej matki, biednej kobiety, którą tutaj leczę. Nader ciężki tyfus abdominalny... Ale my ją wyleczymy. Nieprawdaż Hendriczku? Masz, pij na zdrowie twojej matki! — i ze spojrzeniem pełnem miłości przysunął małemu szklankę, którą tenże obiema rączkami ujął, do ust zbliżył i z takiem chciwem zadowoleniem pił, że mu łzy w oczach stanęły.

— Stań! Dosyć... — zawołał Trojan, odciągając szklankę ostrożnie od ust i wyjmując z oplatających ją paluszków,

— Ten mały wypróżniłby mi ją jednym haustem! Czy chcesz stać się takim pijakiem, jak twój Pan ojczulek?

— Musisz Pan wiedzieć — rzekł zwracając się do mnie, że jego ojciec jest największym łajdakiem, jacy istnieją. Niezliczone razy za złodziejstwo zwierzyny i inne zbrodnie karany, uciekł z ostatniego aresztu i znikł bez śladu, a licho wie, gdzie się teraz obraca. Swoję żonę zostawił z tym chłopcem w nędznej komórce, która przedtem służyła za stajenkę dla kóz.

Było to właściwie szczęściem dla niej, bo musiała tego próżniaka, co w ostatnim czasie rękę już tylko do złego podnosił, sama utrzymywać, a nadto przepijał połowę jej szczupłego zarobku. Teraz mogła się przynajmniej z dzieckiem swojem najeść do syta.

Ale ta ustawiczna męka i trudy! Nie mam pracy w polu na myśli; bo ta jest zgodna z naturą i służy człowiekowi, choć dużo potu kosztuje.

Lecz w jesieni, lub w zimie, gdy wicher północny na wyżynie szaleje, a daleko i szeroko śnieg zaległ! Codzień o świcie biedz na dół do fabryki cukru, lub gdzie się właśnie zajęcie znajdzie! Późnym wieczorem znowu na górę — a przytem w żołądku nic, prócz chleba i nędznych kartofel: można się nabawić tyfusu. Ale my ją postawimy na nogi! Postawimy na nogi!

— Nie wątpię o tem — rzekłem — bo po wszystkiem, co od pana Wanke o Panu słyszałem...

— A więc mówił o mnie! — zawołał z widocznie zadowoloną dumą, rumieniąc się z radości, przyczem jednak twarz jego wyglądała, jak człowieka, który się ma gorzko rozpłakać. — Ja wiem, że on moją wiedzę lekarską uznaje, nie weźmiesz więc Pan moją pewność za brak skromności. Posiadam wiele doświadczenia i mogę powiedzieć, że poznaję chorobę prawie już w zarodku i przewiduję z pewnością dalszy jej przebieg, chociaż, jak Pan zapewne wiesz, nie zdałem egzaminu.

— Tak, wiem — odrzekłem — i dziwię się tylko, że się Pan nie starałeś...

Ta uwaga musiała być dlań oczywiście nader przykrą, lecz dziwnym sposobem skrzywiła się twarz jego do uśmiechu, jak u zdziecinniałego starca.

— Tak, jest to w istocie dziwne — rzekł, rzucając się na ławce i wyciągając rękę. — Nie miałem pojęcia, że jestem stworzony na lekarza, mimo że codziennie patrzałem, jak ojciec zawód swój wykonywał, i dość często mawiał, że muszę zostać jego następcą. Na to nie zważałem i żyłem jak marzyciel, nie troszcząc się o to, co będzie. Nie miałem też głowy do nauki. Z książek uczyłem się z wielką trudnością. Siedzenie w szkole było dla mnie okropne; najchętniej włóczyłem się po lasach i łąkach. Z ciężką więc biedą przeszedłem gimnazyum w Ołomuńcu, dokąd mię do krewnych oddano. We Wiedniu, gdzie się na rozkaz ojca miałem oddać studyom medycznym, opanował mię szatan zabawy i lekkomyślności. Tamtejsze wesołe życie podobało mi się o wiele lepiej, aniżeli kolegia. Zajmowały mię wprawdzie wykłady przy łóżku chorego, lecz nie dość mocno; były też zbyt rzadkie. A przytem mnóstwo przedmiotów, które trzeba było „kuć" — do tego, jak powiedziałem, nie byłem zdolny. A gdy mi przyszło pierwszy raz trupa krajać, taki mnie strach opanował, że uciekłem i nigdy już do sali sekcyjnej nie wróciłem. Teraz już było naturalnie ex. Opowiadania o tem, co potem nastąpiło, zaoszczędzę Panu, nibyś Pan dobrego nie usłyszał.

— Proszę opowiadać, bardzo mię to zajmuje.

— Poco szczegóły opisywać? — odpowiedział, jakby odsuwając od siebie owe wspomnienia.

— Poco?... Tyle tylko krótko powiem, że mię mój ojciec, w swoich najpiękniejszych nadziejach życia zawiedziony, w pierwszem uniesieniu odepchnął, że próbowałem to i owo, obracając się przez kilka lat w coraz to gorszem towarzystwie, póki pewnego dnia — jak ów syn marnotrawny z biblii — i jak tenże przyjęty zostałem, gdyż śmierć siostry mojej, która ojcu gospodarstwo prowadziła, zupełnie go osamotniła. Umarła na suchoty, jak niegdyś matka moja, tylko w młodszych latach. Także i ojciec zaczął zapadać na zdrowiu, wzrok się jego osłabił, tak, że rad był wreszcie mieć kogoś przy sobie. Mogłem mu być pomocnym przy przyrządzaniu lekarstw, bo apteki w miejscu

nie było; lecz przedewszystkiem musiałem mu głośno czytać. Gdyż o ile był w stanie, sprowadzał najnowsze fachowe dzieła i tygodniki medyczne. I stało się coś cudownego!

Przy czytaniu — Pan wierzysz — spadła mi, jakby zasłona z oczu. Wszystko co tu stało, było mi tak jasne, tak zrozumiałe, jak gdybym zawsze był lekarzem! Nie tylko, że rozumiałem, czułem się do najgłębszego przejęty i z prawdziwą chciwością pożerałem teraz bibliotekę mego ojca, choć mi się teraz wydawało, jakobym to wszystko dawno znał. Czy to nie dziwne?!.. Czy to nie dziwne?!... Spojrzał płaczliwie ku niebu.

— Pewnie — odpowiedziałem. — Lecz dałoby się to prawem dziedzictwa wytłumaczyć — może tą tajemniczą siłą, którą ktoś nazwał pamięcią materyi.

— Pamięć materyi — powtórzył szybko. — Bardzo dobrze! Wrażenia mózgowe, które z indywidua na indywiduum przechodzą. Tak być musiało!

Ojciec mój był zdziwiony mojemi nagłemi wiadomościami medycznemi i orzeczeniami. Gdy został długoletnią niemocą złożony, kazał się przezemnie u pacyentów zastępować. Z początku musiałem mu dokładnie sprawę zdawać; później już nawet nie słuchał i mówił:

„Daj pokój, ty i tak lepiej to rozumiesz, niż ja".

— A jeśli tak było — wtrąciłem — jeśli się Panu, jak to powiadają, w głowie rozjaśniło, czy nie mogłeś Pan straty młodości wynagrodzić?... Złożyć później egzamin?...

Posunął się niespokojnie na krześle.

— Nie, nie — rzekł z dziwacznym, jakby wesołym grymasem — na to już było zapóźno. Wiek normalny dawno już miałem za sobą. Ażeby zdać jakikolwiek egzamin, musiałbym był uzupełnić kurs chirurgiczny. To zaś byłoby dla mnie niemożliwem, gdyż odraza do krajania mięsa była i pozostała niepokonana. Jeszcze dzisiaj nie mogę wziąć żadnego instrumentu do ręki.

— To jest w rzeczy samej szczególnem a także i brakiem.

— Brakiem? Jakto brakiem?! — zawołał popędliwie, rzucając na mnie spojrzenie prawie groźne.

Popatrzyłem nań zdziwiony.

— A no, zdaje mi się, że przecie ta umiejętność jest niezbędną dla tego, kto jako lekarz...

— Niezbędną!... Niezbędną!... — powtórzył z pewnym rodzajem szyderstwa. — Anatomiczna wiedza jest konieczną, ale można ją nabyć z każdego dobrego atlasu. A od czego dzieła z rycinami? Nie trzeba wprzódy trupa rozkawałkowywać. To jest coś dla właściwych anatomów, jak Hyrtl i Rokitansky, lub dla fizyologów, jak Brücke.

Oppolzer i Skoda nigdy się lancetu nie tknęli, zostawiali oni to chirurgom Schuh'om i Pithas'om. Byli internistami. A i ja nie cyrulik, co ludziom bańki stawia, lub krew puszcza. Kto tego żąda, niech idzie do dworskiego kowala, który też bardzo zręcznie zęby rwie. Moją rzeczą jest poznać i sprawdzić, czy w tym lub w innym wypadku jest operacya konieczna — a wtedy zwracam się z tem do doktora Hulesza, który, jako były lekarz wojskowy, jest pod tym względem bardzo zdolny.

Nie odpowiedziałem nic. Poznałem, że drasnąłem nader czułą stronę i wcale nie miałem ochoty zapuszczać się w dalszą kontrowersyę z człowiekiem wzburzonym.

Poznał moje zniechęcenie i mówił dalej, łagodząc nieco ostry ton swego głosu:

— Wybacz Pan! Byłem porywczy, a może nawet niegrzeczny. Lecz temat ten łatwo mię wzburzyć może. Już raz przy podobnej dyskusyi pokłóciłem się na dobre z Huleszem, gdyż on widzi „w krajaniu" zbawienie ludzkości. Jest on fanatycznym wielbicielem i zwolennikiem Billrotha. Mimo całego poważania, jakie mam dla tego genialnego męża i jego zdumiewających czynów, muszę powiedzieć, że grozi on zagarnięciem medycyny pod panowanie noża. On sam wie na pewno, czy i kiedy operacya jest konieczną; zresztą radzę się go tylko wtedy, gdy już jest *Aut-Aut*. Lecz dla uczniów jego nie ma już terapii zresztą; wzgardzili zupełnie starym, cennym skarbem roślin leczniczych. Są to niecierpliwcy; chcą naturę uprzedzić, a gwałt jej tylko zadają. Ale natura *non facit saltus* — a i lekarz nie powinien skoków czynić. Choć w niektórych wypadkach osiągnięto na razie zadziwiające skutki: złe następstwa chromają tuż za nimi i w najczęstszych wypadkach wydano sąd śmierci na pacyenta, choć się dopiero w rok później urzeczywistnił.

To, co tu wypowiedział, słyszałem już z ust innych, wcale nie zgorszych lekarzy. Ale nie chciałem dłużej prowadzić tej rozmowy, i rzekłem tylko:

— Jako laik, kochany doktorze, nie mogę o tej rzeczy sądzić. Chciałem też poprzednio moją uwagą wyrazić tylko moje ubolewanie, że właśnie Pan ze swojemi zdolnościami nie osiągnąłeś stanowiska, jakie...

— Stanowisko! — przerwał mi, głowę wstecz odrzucając.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Piotr Świdziński.

PROTOTYP PANA ZAGŁOBY.

Postać pana Zagłoby w niektórych ogólno-ludzkich konturach przypomina nieco Szekspirowskiego „Falstafa", choć jest o wiele mniej komiczną, a wyższą daleko wartością moralną. Typ ten wybornie skreślony i przeprowadzony z całą psychologiczną prawdą zachwycił całą czytającą publiczność i stał się dobrym znajomym całego kraju. Któż go nie zna, lub o nim nie słyszał; obiegł on miasta i sioła, wszystkie dwory i dworki, plebanie, ekonomie, dostał się nawet w ręce drobnych oficyalistów i służby dworskiej.

Przez wiele lat mówiono o panu Zagłobie, dziwiąc się, że typ tak prawdziwy, tak żywo pojęty zrodził się z fantazyi wielkiego pisarza. Sam autor, nagabywany o to, milczał długo. Dopiero w roku jubileuszowym, gdy mistrz słowa zaczął się spowiadać ze swych wrażeń w kółku bliższych znajomych, tajemnica pana Zagłoby wyszła na jaw. Prototyp do tej powieści przywiózł Sienkiewicz z Ameryki, gdzie nad brzegami Pacyfiku, poznał się i poprzyjaźnił z rodakiem Rudolfem Korwinem Piotrowskim. Znajomość ta i pyszny materyał do studyów na osobie pana kapitana, obdarzonego przewybornym staropolskim humorem i swadą opowiadania, dostarczyły materyału do p. Zagłoby, który, zwolna wytworzony w fantazyi wielkiego pisarza, wyszedł odrazu z całą plastyką prawdy i z całem życiem i werwą starego gawędziarza, wiarusa. Jest to główna przyczyna dla mnie do skreślenia tego artykułu, poczuwam się bowiem do pewnego obowiązku moralnego dać poznać szerszemu ogółowi prototyp pana Zagłoby.

Rudolf Korwin Piotrowski, urodzony w pow. zasławskim a wychowany w chełmskim, jest rodzonym bratem ś. p. matki mojej, z którą zostawał w stałej korespondencyi po rok jej śmierci 1870. Ród szlachecki Korwinów Piotrowskich, podzielony na kilka gałęzi, zdrobniał majątkowo tak dalece, że ojciec pana Antoniego, a dziad Rudolfa siedział pod Zasławiem na wiosce kolokacyjnej na kilku włókach i na kilku chłopach, a obciążony liczną rodziną, radził jak mógł w tem swojem chudopacholstwie.

W miarę dorastania dzieci, stary pan Korwin pchał ich między ludzi, a więc synków — jednego na dwór ks. Sanguszki do Sławuty, drugiego do palestry dubniańskiej, trzeciego do wojska. Córki trzy już były mężatkami, poślubiwszy dzierżawców i oficyalistów z dóbr Sanguszkowskich i dostawszy bardzo skromne wiana. Pozostałe panny gospodarzyły z matką w domu, pomagając we wszystkich zajęciach gospodarskich. Pan Antoni, trzeci z rzędu syn p. Korwina, jako ośmnastoletni wyrostek służył jeszcze w powstaniu Kościuszkowskiem, a po rozwiązaniu armii narodowej, ruszył do Włoch, gdzie w ziemi lombardzkiej tworzyły się podówczas legiony. Bił on się tam nad Trebią i pod Nowi, a ranny pod Hohenlinden, spędził lat parę u rodaka, osiedlonego we Francyi Południowej, uniknąwszy zabójczego San Domingo. Po uorganizowaniu Księstwa Warszawskiego, zaliczony jako oficer zasłużony *en retreite* do kadrów nowo formującej się armii i przeznaczony jako porucznik do szwoleżerów gwardyi z kwaterą główną w Chełmie lubelskim. W pobliżu Chełma, w dziedzicznych swych dobrach Kamień, dożywał dni swoich ostatni kasztelan chełmski, Jakób Andrzej Olędzki. Był to w owym czasie mąż sześćdziesięcioletni, o groźnej męskiej twarzy, orlim nosie i dużych przenikliwych oczach. Widzę go dotąd przed oczyma wyobraźni, jak patrzałem na jego portret, wiszący na ścianie w domu mojej matki w Skomorochach Wielkich. Wyglądał on z ram złoconych, poczerniałych od czasu, jako chłop duży, czarniawy o sumiastym wąsie i posępnem spojrzeniu, odziany w kontusz ponsowy i żupan granatowy, z wyrazem pychy i dumy magnackiej, bijącej mu z czoła. Na dole portretu, drukowanem czerwonem pismem, umieszczono koncept staropolskiego humoru: „I oto Andrzej Olędzki, kasztelan już trzeci. Dziad, Ojciec ziemi Chełmskiej, lecz nie będą dzieci Bo tak Ojczyzna spłaca za przodków zasługi, Że Wnuków i Prawnuków mijają Jej długi".

Pan kasztelan był panem całą gębą, posiadał klucz kamieniecki z Ignatowem i Józefinem, oraz wsie dziedziczne Pławanice, Serebryszcze i Uher, słynny Uher, o którym to przysłowiowo mówiono; „Kto ma Uher i Leszczany, może siadać między pany". Lecz u kasztelaństwa na tyle dostatków i splendorów po stracie kilkorga małych jeszcze dzieci, pozostała

jedyna sukcesorka, Józefa, późniejsza moja babka.

Kasztelan swojego czasu był drążkowym senatorem, bo nie wielu kasztelanów miało krzesła w senacie. Za Poniatowskiego spełniał jakiś urząd dworski, był przytem kawalerem Orła Białego. W obywatelskiem życiu, jako potentat, był dwa razy zaszczycony z wyboru urzędem podkomorzego. Nic więc dziwnego, że skala jego pretensyj i widoków na jedynaczkę była bardzo wysoka. „To książęcy kąsek, Mospanie“, powtarzał niejednemu, rozpromienionym wzrokiem ogarniając swoją infantkę.

Pierwsza i ostatnia wyprawa kasztelana, było prowadzenie pospolitego ruszenia w odpowiedzi na uniwersał Kościuszki, lecz przegrana sprawa zmusiła go do szybkiej rejterady w domowe pielesze. Kasztelan złamany na duchu, rzucał posępne wkoło spojrzenia, gryzł duszę własną i wywierał nieraz paniczny przestrach na otoczenie. Dopiero, gdy w kilka lat wszczęło się wrzenie na lombardzkiej ziemi, kasztelan rozpogodził lice. Wypadki jednak prędko rozwijały się. Wojska rosyjskie poszły do Italii na pomoc Austryakom; nastąpiły klęski Francuzów, zadane przez Suwarowa, i niejeden dom polski szlachecki okrył się żałobą. Ale na odległym Wschodzie, w krainie Piramid i Sfinksów, wschodziła tymczasem nowa gwiazda, zwracając uwagę całej Europy i o której wiele nad Wisłą gwarzono... Napoleon nagle powrócił z Egiptu i objął ster rządu we Francyi, a zwycięstwem pod Marengo przywrócił we Włoszech wszystkie poprzednie zabory Francuzów. Z generała na naczelnika rządu i dożywotniego konsula, z konsula na cesarza krok tylko jeden. Bonaparte stwarza na rzymskich formach oparte cesarstwo, przywraca powagę Kościoła i wiary katolickiej, stwarza nową arystokracyę, mianuje marszałków, rozdaje tytuły książąt, markizów, hrabiów, wicehrabiów i baronów. Jeszcze raz wyzwany przez Austryę, która się nadstawia, chcąc ratować Anglię, kończy wojnę uderzeniem Austerlickiego gromu. W rok potem, po rozgromieniu Prusaków, znajduje się nad Wisłą i dnia 16. grudnia 1806 r. o godz. 4-ej rano przybywa z eskortą do uśpionego miasta i zaledwie dostukawszy się, znajduje wypoczynek w dawnej rezydencyi królów polskich.

Następuje Eylau-Frydland, królestwo pruskie niknie, zajęte zupełnie przez Francuzów, a król pruski wraz z królową szuka przytułku u potężnego sprzymierzeńca cesarza Wszech Rosyi. Za wpływem tegoż po dwóch wielce upokarzających dla króla pruskiego spotkaniach, następuje traktat tylżycki, którego §. 2 opiewa: ***La moitié du territoire effectiv edu Royaume de Prusse, L'Empereur Napoleon revendiquerra, pour la Dynastie de Hohenzollern, mais seulement par les egards et par amitié pour Sa Majesté L'Empereur de la Russie.*** Księstwo Warszawskie traktatem tym sformowane z dwoma i pół milionami mieszkańców i połączone wspólnym tronem z królestwem saskiem, którego poprzednicy panowali na tronie polskim.

Wieści te rozruszały kasztelana Olędzkiego, a gdy się dowiedział, że król jest spodziewany w czerwcu w Warszawie, zapragnął zobaczyć nowego swego władcę, mając przytem załatwić i pewne majątkowe sprawy. Wyruszył więc kasztelan w pierwszych dniach czerwca do Warszawy na cały miesiąc, zabrawszy dwóch dworzan i kilku służących. Tymczasem na zamku kamienieckim zmienia się jakoś porządek rzeczy. Kasztelanowa często wyjeżdża do Chełma, wydaje kilka assambli w Kamieniu, gdzie korpus oficerów wraz z pułkownikiem Tomickim znajduje się na balu. Nagle kasztelanka znika; kasztelanowa mdli się i rozpacza, a dwór cały pełen plotek i różnych domysłów.

Powraca kasztelan, sądny dzień spada na kamienieckie dworzyszcze. Po scenie z mężem, podczas której biedna kasztelanowa omdlała, zamyka się ona przed mężem i całe dni spędza wśród żeńskiej czeladzi, lub na modłach w miejscowej kaplicy. A kasztelan burzy i huczy po ogromnych salach kamienieckiego pałacu, porusza niebo i piekło, przerażając domowników i odstraszając wszelkich gości. Lecz czas jest najlepszym lekarzem na wszystko, gdyż powoli goi i zabliźnia rany; kasztelan uspakaja się zwolna, każe prosić kasztelanową do wspólnego stołu i odzywa się nawet do niej łaskawie: „Dość tych szlochów i kwasów, moja panno, nie zatruwajmy sobie życia, bo go niewiele zostało. Przyszło na nas wielkie nieszczęście z dopustu Bożego. Ale Zbawiciel na krzyżu więcej ucierpiał. A jakże tam córka Aspani? Zali też zdrowa i zadowolona ze swojego chudapacholskiego losu? Jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi. Chciałem inaczej, przeszkodziliście mi, dziej się wola Boża“.

Kasztelan, to typ ojca z końca XVIII. wieku. Kocha córkę bez granic, ale w żadnym wypadku nie kapituluje z dyktatury rodzicielskiej. „Moja panna“ często przyciszonym głosem bąkała przy obiedzie wiadomości z Wołynia. Nie ukrywała przed kasztelanem śmierci pierwszego wnuka Numy, który umarł półrocznem dziecięciem. Kasztelan bardzo był wzruszony tą wiadomością i prosił żonę o napisanie listu uspokajającego. Ale kiedy mu żona doniosła, że państwu Piotrowskim urodził się syn drugi, kasztelan nie wytrzymał dłużej i gnębiony przez lat parę tęsknotą i niepokojem, napisał list, zapraszający Korwinów do Kamienia.

(Dokończenie nastąpi).

Zdzisław Dębicki.

Cisza wieczorna.

Wieczorna cisza idzie od łąk
I srebrną rosą pruszy...
Trzeba mi drogich dwojga rąk,
Trzeba mi twojej duszy...

Niech mi owiną szyję w krąg
Twe ręce, jak powoje..
Wieczorna cisza idzie od łąk,
A serce tęskni moje...

Trzeba mi drogich dwojga rąk,
Trzeba mi twojej duszy..
Wiosenne kwiaty pachną wkrąg,
Kwiat z białej leci gruszy..

A życie jest, jak pierścień mąk,
A smutne życie moje — —
Niech mi owiną szyję wkrąg
Twe ręce, jak powoje...

Wieczorna cisza idzie od łąk...

Stanisław Bobelak.

Musica proibita.

(Pieśń zakazana).

Na pokładzie parowca „Cirkvenica“ opuszczającego z początkiem marca przystań Rjeki, panował ruch niezwykły. Z powodu bowiem nader ostrej zimy na północy, jak nie mniej obfitych śniegów, które spadły w dniach ostatnich, napływ kuracyuszów, chcących spędzić ostatnie tygodnie sezonu na znanej ze swego łagodnego klimatu wyspie Lussin, był bardzo znaczny. Pogodny, jakkolwiek nieco chłodny, poranek zgromadził wszystkich podróżnych, oczekujących na tylnej części pokładu z niecierpliwością na chwilę wyruszenia w drogę. Nareszcie dał się słyszeć trzykrotny odgłos świstawki okrętowej, poczem rozległa się komenda kapitana, stojącego na pomoście: „*Mezza forsa avanti!*“ a „Cirkvenica“ zaczęła się oddalać od wybrzeża, z początku zwolna, później zaś coraz to szybciej, pozostawiając za sobą uroczą, modrą przystań Rjeki, otoczoną z jednej strony śnieżnemi szczytami Karstu, z drugiej zaś gorą Monte Maggiore.

Po wyjeździe z portu, podróżni zaczęli się zapoznawać między sobą, a tworząc kilka grup, rozmawiali o pogodzie i naturalnie o tem, czy też nie będą musieli zapoznać się z chorobą morską. W grupie, która rozlokowała się na samym tyle parowca obok bandery, prym wodził wysoki, barczysty wiedeńczyk, jak się później okazało, przedsiębiorca fiakrów, pan Bartke, który zapewniał każdego, że najlepszym środkiem przeciw chorobie morskiej jest wino i koniak. Sądząc po kolorze jego twarzy, nie mówiąc już o nosie, pan Bartke musiał w swem życiu odbyć wiele podróży morskich.

Chudy, ubrany w zielony hawelok profesor wiedeńskiego gimnazyum, pan Reschek zapewniał znów, że jedynem lekarstwem przeciw tej chorobie jest „marynarski grog“ i zaproponował, aby zejść do sali jadalnej i skosztować tego środka. W tej chwili jednak przystąpiła do niego anemiczna, wyglądem swym wyciśniętą cytrynę przypominająca osóbka w wieku około 40 lat, a wpatrzywszy się swemi małemi oczkami, zagadnęła go:

— Panie profesorze, czyś mnie pan nie poznał?

— A, panna Caras, nauczycielka z Döblingu, nie prawdaż?

— Tak jest — odrzekła anemiczna panna i spuściła skromnie oczy...

Profesor chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz w tej chwili podszedł do niego średniego wzrostu mężczyzna o starannie wygolonej twarzy i á la Wilhelm II podkręconych wąsach, a przedstawiwszy się nauczycielce (z profesorem znał się już widocznie) jako Grünhaut, artysta wiedeńskiego teatru Rajmunda, wszczął z nią rozmowę na temat emancypacyi kobiet, co słysząc profesor, zabrał pana Bartkego i innych znajomych i zeszedł z nimi do jadalni.

Na środku pokładu, obok maszyny parowej, zebrała się grupa Węgrów, wiodących ożywioną rozmowę. Zdala od tej grupy, na ławeczce, po prawej stronie pokładu, siedziały dwie kobiety. Starsza z nich, w wieku około 50 lat, nader przyjemna, ubrana była całkiem czarno i taki sam okrągły kapelusz zdobił jej gło-

wę. Młodsza, mogąca liczyć najwyżej 23 lat, o sympatycznej, lecz nad wyraz smętnej i bladej twarzy, robiła wrażenie rekonwalescentki, która przebyła niedawno ciężką chorobę. Ubrana była w suknię dzikiego koloru, z pod której można było dojrzeć drobne nóżki. Na głowie miała kokieteryjny kapelusz filcowy, koloru jasno szarego, z białą, podwiniętą woalką, a owinięta w pelerynę i zapatrzona w fale morskie, zdawała się nie słyszeć głosu swej towarzyszki. Tylko od czasu do czasu zwracała się do niej, a wtedy jej żywe, pełne ognia czarne oczy, stanowiły dziwny kontrast z bladością twarzy i przyprószonemi tu i ówdzie siwizną czarnemi włosami.

— Matyldo, może ci za chłodno — odezwała się wreszcie starsza kobieta. — Może chcesz zejść na dół do salonu?

— Nie mamo, chłodu nie czuję, potylko półgłosem i jak gdyby do siebie, rzekł:

— Złudzenie to, czy rzeczywistość.... Ależ to niemożliwe.... — tamta od lat 18 w grobie.... a przecież to podobieństwo.... te oczy.... te włosy...

Widocznie, że ostatnie słowa zasłyszał starszy jego towarzysz, gdyż ponownie zagadnął go:

— O jakiem podobieństwie mówisz pan?

— Nic to, nic — odrzekł Bolesław — przyszło mi właśnie w tej chwili coś na myśl... Ale tu za chłodno. Chodźmy, panie Kazimierzu, na kieliszek wina — i spojrzawszy raz jeszcze na Matyldę, zeszedł szybko po schodkach do sali jadalnej.

Wypadek ten nie uszedł oczom Matyldy i jej matki, albowiem gdy Bolesław z Kazimierzem zeszli z pokładu, odezwała się ta ostatnia:

— Ta sama postać, te same oczy i siwizną przyprószone włosy... a przecież nie ona... biedna, biedna Dolores...

Wyszedłszy na pokład, udał się Bolesław na pomost, gdzie wszczął rozmowę z kapitanem okrętu i gdzie pozostał aż do chwili, kiedy dzwonek stewarda wzywał pasażerów na obiad. Podczas obiadu daremnie rozglądał się za Matyldą i jej matką, które pozostały na pokładzie. Zaledwie obiad się skończył, kiedy dano znać z pokładu, że „Cirkvenica“ zbliża się do portu Lussinpiccolo. Na tę wiadomość udali się wszyscy na górę, gdzie oczom ich przedstawił się wspaniały widok. Okręt wjeżdżał w tej chwili do cieśniny *Bocca vera*, wiodącej do przystani, a utworzonej przez wysepkę Colludarz i cypl przylądka, wysuwającego się z pod północnej części wyspy ku południowi. Minąwszy cieśninę, skręcił parowiec na pra-



WYJAZD NA POLOWANIE.

zostańmy tutaj — odrzekła młodsza i znów zapatrzyła się w głębię morza.

Naprzeciw tych pań, lecz na środku pokładu, pod ścianą salonu dla palących siedziało dwóch mężczyzn i rozmawiali ze sobą. Nagle młodszy z nich rzucił okiem na prawą stronę i równocześnie wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Matyldy. W tej chwili zdziwienie wymalowało się na jego twarzy, poczem zbladł raptownie i nie był w stanie dokończyć rozpoczętego zdania, tak, że starszy zagadnął go:

— Cóż to, czy panu może się źle zrobiło, panie Bolesławie? A może to początek choroby morskiej?

Słowa te, jak gdyby zelektryzowały Bolesława i widać było, że tylko z najwyższem wysileniem oderwał swój wzrok od Matyldy. Lecz i teraz widocznie jeszcze nie przyszedł zupełnie do siebie, gdyż nie odpowiadał na zapytania starszego,

— Uważałaś Matyldo, jak ten młodszy nagle pobladł? Czyżby mu się źle zrobiło? W każdym razie, jeżeli ci panowie jadą do Lussin, będziemy mieli towarzystwo rodaków.

— Nie rób sobie mamo zbyt wielkich nadziei co do ich towarzystwa — odrzekła Matylda — przecież musieli nas słyszeć rozmawiające po polsku, a pomimo tego nie uważali za stosowne przedstawić się.

— Kto wie, czy nas słyszeli, a zresztą może wyczekują na odpowiedniejszą chwilę.

Po chwili odezwała się znów matka:

— Zejdźmy na śniadanie.

— Dobrze — odrzekła Matylda i obie kobiety zeszły na dół, gdzie w drzwiach sali spotkały się znów z Bolesławem, który patrząc na Matyldę nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia półgłosem:

wo, gdzie w głębi przystani rozłożyło się miasteczko. W kwadrans później „Cirkvenica“ przybiła do brzegu obok placu św. Antoniego, a podróżni wyszedłszy na ląd, udali się na poszukiwania pomieszkań.

O godzinie siódmej wieczorem tego samego dnia, w pierwszorzędnym pensyonacie zebrali się goście na kolacyę. Kiedy Kazimierz z Bolesławem weszli do sali, właściciel pensyonatu wskazał im miejsca przy jednym ze stołów, a zarazem przedstawił osoby siedzące już przy nim. Prócz znanych już z „Cirkvenicy“, profesora Reschka i panny Caras, resztę miejsc przy stole zajęli dawniejsi goście, a to: jenerał austryacki Kurz z żoną i synkiem, p. Dornowa żona inżyniera kolejowego z Czech z córeczką, lekarze miejscowi Dr. Marac i Dr. Layos, oraz żona właściciela pensyonatu p. Krassa. Obok Bolesława pozostały dwa wolne miejsca. W chwili, kiedy słu-

żąca obnosiła pierwszą potrawę, otworzyły się drzwi i do sali weszła Matylda wraz z matką, którym p. Krassa wskazał miejsca niezajęte jeszcze przy stole. W ten sposób Matylda usiadła obok Bolesława, który wraz z Kazimierzem powstał w tej chwili, chcąc się przedstawić przybyłym.

— Kazimierz Ośmiński, urzędnik sądowy z Królestwa — przedstawił się starszy.

— Bolesław Bielecki, urzędnik kolejowy — przemówił nasz znajomy.

Matka Matyldy, podniósłszy się z krzesła, odpowiedziała.

— Betty Kwiecińska, żona radcy apelacyjnego — a to moja córka Matylda Janowska, żona adwokata; obie jesteśmy z Galicyi i cieszymy się bardzo ze spotkania się z panami, z którymi będziemy się mogły porozumiewać ojczystą mową.

— Służymy bardzo chętnie i oddajemy się w zupełności na rozkazy pań — odpowiedział Kazimierz.

Żebyście tylko panowie nie żałowali tego później — odezwała się Matylda — gdyż gotowe jesteśmy trzymać panów za słowo a zapowiadam z góry, że jestem kapryśną i będziecie panowie mieli ze mną nie lada kłopot.

— Pani kapryśną? — odezwał się Bolesław.

— Tak i to bardzo — brzmiała odpowiedź.

Przy końcu kolacyi zapytała Matylda:

— O ile mi się zdaje, przyjechaliście panowie dzisiaj „Cirkvenicą“ z Rjeki?

— Tak jest — odpowiedział Bolesław — razem z paniami.

— Więc pan nas zauważyłeś na parowcu?

Bolesław zamiast odpowiedzi spojrzał jej bystro w oczy, a po chwili dodał:

— Wszak siedziałyście panie z krótką tylko przerwą, przez całą drogę na ławeczce po prawej stronie pokładu. Lecz pani nie powinna była wystawiać się tak długo na chłodny wiatr, zwłaszcza, że o ile mi się zdaje, nie jesteś pani zupełnie zdrową.

— Czyżbym rzeczywiście tak źle wyglądała? Jakkolwiek nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyż w ostatnich czasach przeszłam wiele. W lecie zeszłego roku straciłam dwoje dzieci... w jesieni zaś przebyłam silną influenzę; to też lekarze wysłali mię tutaj, a ponieważ i mama nie jest zupełnie zdrową, więc zgodziła się na prośbę męża i odwiozła mię tutaj. Za trzy lub cztery tygodnie, ale w każdym razie przed Wielkanocą, ma przyjechać mój brat, a wtedy mama odjedzie

— Więc pani straciłaś już dwoje dzieci? zapytał zdziwiony Bolesław.

— I cóż w tem dziwnego? Wszak od lat pięciu jestem zamężną. W domu pozostawiłam na opiece ciotki jeszcze jednego synka piętnastomiesięcznego — jedynaka.

— Nie wyglądasz pani na matkę trojga dzieci, a otwarcie powiedziawszy, ujrzawszy panią na „Cirkvenicy“, wziąłem ja za pannę.

— Ależ panie, ja już mam siwe włosy!

— Tak tak, te siwe włosy... siwe włosy... — odrzekł półgłosem Bolesław, jak gdyby do siebie mówiąc.

Około godziny dziewiątej towarzystwo rozeszło się, część udała się jeszcze na przechadzkę, a reszta, między nimi nasi znajomi, do swych pokoi. Bolesław długo nie mógł zasnąć, powtarzając kilkakrotnie te oczy... te włosy... a przecież nie ona...

W następnych dwóch dniach widywali się tylko przy stole, Bolesław bowiem, jak gdyby naumyślnie od nich stroniąc, trzymał się zdala od towarzystwa. Trzeciego dnia podczas obiadu matka Matyldy, zwracając się do Kazimierza, zapytała go, czy nie zechciałby popołudniu udać się z niemi na przechadzkę do Cigale — (uroczej zatoki w zachodniej stronie wyspy). Gdy Kazimierz z chęcią przystał na tę propozycyę, Matylda, zwracającsię do Bolesława, zapytała go:

— A pan nie zechce nam towarzyszyć?

— Jeżeli pani rozkaże — chętnie.

— Ależ ja nie rozkazuję, tylko proszę.

— W takim razie będę paniom służył.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kazimierz Laskowski.

Na wieś jadę w pola...

Na wieś jadę w pola,
Kędy pachnie rola!
Po fujarkę, po wierzbową,
Po swojackie, bliźnie słowo,
Za mną! komu wola!

Pośród dolin, wzgórz
Pnie się dróżka wzdłuż;
Na pagórkach chaty wieńcem
Przystanęły nad gościńcem;
Na gościńcu kurz a wrzawa!
Na gościńcu kurz!

Z podwioskowych drzew
Dzwoni ptasząt śpiew,
Ciągną pługi za pługami
Pobrzękując lemieszami
Na wiosenny śpiew, na jary!
Na wiosenny śpiew!

Od drewnianych „włók“
Idzie pył a stuk;
Zda się ziemia z człekiem woła,
By tej pracy w pocie czoła
Dopomagał Bóg, poświęcił!
Dopomagał Bóg!

Lśnią się wstępi skib...
Jeno grzędziel skrzyp!
Jeno „żelaz“ warczy w bronie,
Czesząc warkocz po zagonie,
Na powszedni chleb obsiany!
Na powszedni chleb!

„Hetta! Wiśta! Wio!“
Lśnią się skiby, lśnią!
Od uwrocia po uwrocie
Wszystko w słońcu, wszystko w złocie,
Aże oczy lgną i serce!
Aże oczy lgną!

Ze wsi wrzawa, z pola,
Kędy świeci rola!
Chociaż tęskno tego nieba!
Onej ziemi wracać trzeba!
Taka mi już dola!

Prof. Józef Brzeziński.

Kilka słów o stanowisku kardynałów w Kościele.

Ojciec św. na ostatnim konsystorzu ogłosił kreacyę J. E księcia-biskupa Puzyny kardynałem św. Rzymskiego Kościoła. Na podstawie tego doniosłego aktu w czasach porozbiorowych, drugi z rzędu arcypasterz dyecezyi krakowskiej uzyskał największe w Kościele po Papieżu dostojeństwo.

Dzieje Rzeczypospolitej z czasów jej świetności raz tylko wykazują podobny fakt, kiedy po kardynale Jerzym Radziwille bezpośredni jego następca na stolicy krakowskiej, Bernard Maciejowski, został zaszczycony purpurą. Następnie po dłuższej przerwie znowu był kardynałem biskup krakowski, Jan Albert, syn króla Zygmunta III, a wreszcie po stu latach Jan Aleksander Lipski, ostatni z kardynałów polskich z czasów Rzeczypospolitej, których szereg na krakowskiej stolicy tak świetnie się rozpoczął od Zbigniewa Oleśnickiego.

Kardynał w Kościele nie ogranicza się jedynie do pewnych prerogatyw honorowych, jak np. w dzisiejszym ustroju hierarchicznym po największej części godności patryarchów i prymasów, lecz jest urzędem, nadającym najdonioślejsze dla całego Kościoła atrybucye jurysdykcyjne, nad któremi góruje czynne prawo wyboru Papieża, a faktycznie na podstawie kilkowiekowej praktyki również obieralność na stanowisko Namiestnika Chrystusowego jest wyłącznym udziałem kardynałów. Tak więc w czasie opróżnienia Stolicy św. oni są jej elektorami, a w czasie jej obsadzenia tworzą jej senat doradczy; oni jedynie uczestniczą z głosem stanowczym w t. zw. kongregacyach kardynalskich, to jest w najwyższych dla całego Kościoła trybunałach papieskich i stałych wydziałach jurysdykcyjnych kolegium kardynałów, tudzież są naczelnikami innych władz kuryalnych w Rzymie, złożonych z prałatów, jak datary apostolskiej, penitencyaryi apostolskiej, kancelaryi apostolskiej, sekretaryatu brewiów i t. d., funkcyonujących również jako organy prymatu papieskiego. Jako wysłańcy Papieża w charakterze t. zw. legatów *a latare* wyposażeni byli, zwłaszcza w dawniejszych czasach, całą niemal jego władzą w poruczonych im okręgach. Papieże zowią kardynałów członkami swego ciała (*membra v. partes corporis papae*); dlatego też ich osoba jest otoczoną w Kościele szczególną czcią, jest świętą i nietykalną (*sacro sancta*), wyposażoną największemi po Papieżu prawami honorowemi. Czynne znieważenie kardynała prawo kościelne poczytuje za zbrodnię, *crimen laesae majestatis*.

W hierarchii kościelnej kardynałowie zajmują bezpośrednie miejsce po Papieżu, przed patryarchami, arcybiskupami i biskupami, mają godność Książąt Rzymskich i przysługujący im wyłącznie tytuł Eminencyi, jako „Eminentissimi Principes Sanctae Romanae Ecclesiae Cardinales.“ Do tego tytułu jedynie członkowie cesarskich i królewskich rodów mogą dołączyć swoje świeckie tytuły książęce; w herbie zaś kapelusz kardynalski zastępuje mitrę książęcą. Również pod względem swej rangi świeckiej kardynałowie według starodawnego ceremoniału stoją co najmniej na równi z książętami rodzin panujących.

W dawniejszych czasach częstokroć nawet królowie zwykli zasiadać pomiędzy kardynałami. Na dworze austryackim przyznaną im jest precedencya przed książętami, tudzież niektóre honory wojskowe.

Wysokie dostojeństwo kardynałów w Kościele uwydatnia się na zewnątrz w insygniach, głównie zaś we właściwym im ubiorze koloru purpurowego; dlatego też zowią ich purpuratami. Kolor czerwony ma — według niektórych autorów — przypominać im obowiązek poświęcenia się zu pełnego Kościołowi aż do przelewu krwi; według innych oznacza ich jurysdykcyę, zarówno, jak co do prałatów, kolor fioletowy.

Do insygniów należy już od XIII wieku czerwony kapelusz (*galerus cordinalitius*), który kardynałowie kładą na czerwoną czapeczkę *berrettino, zucchino v. zuchetto*, zwaną także *soli deo,* ponieważ zdejmuje się tylko przed Najśw. Sakramentem), udzieloną im w XV wieku przez papieża Pawła II wraz z czerwonym biretem (*la berretta, pileolus, capitium*), następnie mitra (*mitra serica damasceni operis*), której używają przy najuroczystszych funkcyach kościelnych, gdy asystują Papieżowi. Przy innych uroczystościach występują przyobleczeni w kapy, to jest w obszerne czerwone płaszcze (*cappa magna*), w zwykłych uroczystościach używają innych szat purpurowych; nadto mają zarówno z biskupami, prawo używania pontyfikaliów, noszą pierścień z szafirem (*annulus cardinalilius*), w swych kościołach tytularnych mają nad tronem baldachim; mały baldachim zaś, czyli t. zw. ombrellino służył kardynałom wtedy, gdy wysiadłszy ze swych ekwipażów, z odkrytą głową, według dawnego zwyczaju, towarzyszyli Najśw. Sakramentowi, niesionemu do chorego.

Kardynałowie uważani, jako ogół, tworzą kolegium, zorganizowane korporacyjnie na podobieństwo kapituł katedralnych, mające jako senat papieski w stosunku do Głowy Kościoła stanowisko doradcze; w czasie opróżnienia Stolicy św. sprawuje ono w pewnym ściśle oznaczonym zakresie, niektóre funkcye tymczasowego zarządu Kościoła. Na czele tego kolegium stoi kardynał dziekan, którym jest biskup z Ostyi, a zarząd dochodów należy do kardynała-skarbnika (*Camerarius Sacri Collegii*). Takowe wytworzyło się z dawnego prezbyteryum, to jest z duchowieństwa, które znajdując się w otoczeniu biskupa rzymskiego służyło mu do pomocy w załatwieniu licznych spraw z dziedziny administracyi i sądownictwa kościelnego, tudzież przy sprawowaniu funkcyi służby Bożej.

Wśród owego prezbyteryum uwydatniali się przedewszystkiem już w pierwszych wiekach pod względem swego znaczenia w Kościele prezbyterzy, którzy naczelne zajmowali stanowiska (*principales*) nad klerem, przydanym do tak zwanych tytułów, to jest kościołów głównych (*ecclesiae principaales v. baptismales*), położonych w obrębie miasta Rzymu (pierwotnie w liczbie 23 do 25). Oni to później otrzymali nazwę kardynałów-prezbyterów, a kościoły główne przybrały charakter tytułów, to jest kościołów kardynalskich, których liczba później znacznie pomnożona, odpowiada mniej więcej liczbie kardynałów-prezbyterów. Obok prezbyterów, w łonie duchowieństwa Kościoła Rzymskiego, spełniali ważne obowiązki dyakonowie, zwłaszcza ci, którzy kierowali sprawowaniem pieczy nad ubogimi w starodawnych okręgach (*regiones*), na które miasto Rzym było podzielone. W każdym okręgu znajdowała się tak zwana dyakonia, to jest zakład dobroczynny, która była niejako ogniskiem miłosierdzia chrześcijańskiego w pierwszych wiekach Kościoła. Papieże czynili na rzecz dyakonii szczodre darowizny nietylko w pieniądzach, ale i w nieruchomościach; obok owych zakładów wznoszono kościoły, a w ślad za tem rozszerzał się zakres działania — a zarazem rosło znaczenie dyakonów, jako kierowników pieczy nad ubogimi w łonie prezbyteryum Kościoła Rzymskiego.

To dało początek do postanowienia drugiej kategoryi kardynałów-dyakonów, do których już w VI wieku zostało zaliczonych sześciu dyakonów, t. zw. *palatini*; ci kolejno w tygodniu służyli Papieżowi przy odprawianiu ofiary Mszy św. Równocześnie liczba dyakonii została pomnożoną, a dotyczące kościoły miały to znaczenie, co nawet, choć, nie urzędowo, nazywają te kościoły również tytułami. W VIII wieku biskupi dyecezyi sąsiednich Rzymu, czyli t. zw. suburbikaryjnych, w liczbie siedmiu (później sześciu wskutek połączenia kiskupstw) uzyskali miano kardynałów, a to ze względu na swój stosunek do kościoła lateraneńskiego, będącego katedrą Papieża, jako biskupa rzymskiej dyecezyi, którego biskupi suburbikaryjni byli pomocnikami i doradcami. Tworzą oni trzecią najwyższą kategoryę kardynałów, t. zw. kardynałów-biskupów. Ogólna liczba kardynałów uległa w ciągu wieków różnym zmianom; przez długi czas było 53 członków św. kolegium. Sobory, t. zw. reformacyjne XV stulecia, t. j. konstancyenski i bazylejski, usiłowały takową ograniczyć do 24, co jednak nie utrzymało się. Sobór trydencki zaś, nie określając liczby kardynałów, zalecił, aby Papież wynosił do godności kardynalskiej odpowiednich mężów z pośród wszystkich narodów chrześcijańskich.

(Dokończenie nastąpi).

Paderewski we Lwowie.

Było to dawno, bo w r. 1885... Żadną nie poprzedzony reklamą, prawie nieznany, przybył do naszego miasta w zimie młody pianista i wystąpił z koncertem. W nieogrzanej sali kasyna miejskiego zebrała się gromadka melomanów, nie licząca więcej nad dwadzieścia osób. Koncertant grał Chopina, Schumanna, Beethovena i — własne utwory młodocianej muzy. Nieliczni słuchacze byli zdumieni zarówno mistrzowstwem wykonania, jak i śmiałemi kompozycyami, które porywały. Wówczas już przepowiadano mu przyszłość świetną, jeżeli — u nas warunek konieczny — pozna się na nim zagranica...

Tym koncertantem był Paderewski.

W cztery lata później powtórnie zawitał do nas, ale już, jako znany i uznany za granicą, jako sławny i znakomity. Tym razem na dwóch koncertach, z którem wystąpił, sala była przepełniona, o Koło litaracko-artystyczne uczciło go bankietem.

Obecnie po raz trzeci Lwów gości chlubę muzyki polskiej, a to, jako autora opery „Manru", — dzieła, które u muzyków polskich i zagranicznych spotkało się z uznaniem, pełnem zachwytu.

Paderewski wraz z małżonką przybył we czwartek wieczorem, oczekiwany na dworcu kolei przez komitet obywatelski, prezydenta miasta, oraz delegatów stowarzyszeń muzycznych i literackich. Chór akademicki przyjął go kantatą, a gorącemi słowy przywitali: prezydent miasta, dr. Małachowski, prezes komitetu, dr. Tchórznicki, oraz dyrektor teatru p. Pawlikowski. Każdemu z mówców mistrz odpowiedział skromnie, a serdecznie, widocznie głęboko wzruszony owacyą, „na jaką — jak się wyraził — jeszcze nie zdołał zasłużyć". Pani Paderewskiej wręczono wspaniały bukiet.

Państwo Paderewscy zamieszkali w hotelu Eruopejskim, skąd autor „Manru", natychmiast udał się na próbę swej opery do teatru. Próba trwała do godziny 1-szej w nocy. Kompozytor był zupełnie zadwolony z wykonania przygotowanego przez dyrektora orkiestry, p. Spetrino i wyraził się wobec p. Pawlikowskiego z uznaniem zarówno dla solistów, jak chórów i orkiestry.

Treść „Manru" i wrażenie, jakie to dzieło sprawiło w Dreznie, naszkicowaliśmy już w poprzednim zeszycie. Premiera we Lwowie odbywa się właśnie w chwili, gdy pismo nasze idzie pod prasę. Zanotujemy przeto jedynie, że dyrekcya teatru z całym pietyzmem przygotowała przedstawienie. Fronton teatru udekorowany podobnie, jak było w czasie pierwszego w nim przedstawienia, a nad drzwiami wchodowemi widnieje napis, ułożony ze świateł elektrycznych: „Manru". Publiczność oczywiście przepełniła salę. Wszyscy w strojach balowych. Z prowincyi i zagranicy przybyło wiele osób, ażeby poznać nowe dzieło polskiego mistrza. Obecną jest także pani Modrzejewska.

Wdzięczność i uznanie Lwowian dla znakomitego rodaka objawi się tylko przez wręczenie wieńców i upominków po przedstawieniu, na scenie. Od wszelkich innych owacyj i bankietów p Paderewski wymówił się, motywując, że po stracie syna jest tak usposobionym, iż tego rodzaju objawy sympatyi zbytnioby go rozrzewniały. Musiano się przeto zastosować do stanowczej woli gościa.

Bańki mydlane.

W rodzinie Popieralskich
Trzy córki, synów dwóch,
Swojszczyzna przedewszystkiem,
Społeczny górą duch!
Mamusia, pani domu,
Matrona wielkich cnót,
Wyłącznie do krajowych
Rok co rok jeździ wód.
Córeczki, wzorem mamy,
Serdecznych strzegąc spraw,
Corocznie jak zapisał
Do swojskich dążą szczaw
W Szczawnicy, Iwoniczu
Spędzają życia kwiat,
Najstarszej w „kryniczance"
Ubywa nawet lat
Sam papa, choć mu lekarz
Przepisał dawno Spaa,
Nawiedza tylko Lubień
I tylko w winta gra.
Z dwóch braci pierworodny
Do Solca śpieszy rad,
Na buskiem zasie błocie
Pzestaje młodszy brat.
Mamunia gra Chopina,
Chopina córek trzy,
Sam papa muzykalny
Na „Halce" roni łzy.
Brat starszy śpiewa basem,
Tenorem młodszy znów,
Obadwaj zaś namiętnie
Wspierają koński chów.
A że im francuszczyzny
Niemiły zgoła szych,
Jedynie na „zwyczajnym"
Przygrywa każdy z nich,
Tak żyjąc papa z mamą,
Trzy córki, bracia dwaj,
Wydają co do grosza,
Wspierając hojnie... kraj! *El.*

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.